

№ 40 Rok XXI

Dnia 23 Września (6 Października) 1900 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Dobranoc.

Dobranoc!

Dobranoc ci dziecino,
Srebrnym głosem szczebiocz, dzwoń,
Jak sen złoty prześnij życie,
W kwiaty szczęścia wieńcz twą skroń.

* * *

Dobranoc ci, mój pieczoszkę,
Szczerym śmiechem głos twój drży —
Niech on gości na tych ustach
Częściej niżli w oku łzy!

* * *

Dobranoc ci, ukołowanie,
Raz mi jeszcze buzi daj,
Niech twą duszę anioł we śnie
Poprowadzi w niebios kraj.

* * *

W snach dziecinnych zaczerp siły
Na życiowy ciężki bój —
A tymczasem, zanim uśniesz,
Zmów paciorek, skarbie mój.

* * *

Dobranoc ci, lube dziecię,
Zamknij oczki w cichym śnie,
Ja tu będę przy kolebce
O twe szczęście modlić się.

Z. Z.

NAJLICZNIEJSZY NARÓD NA ŚWIECIE.

Opracowała Tomira.

(Dalszy ciąg).

Gdyby zaś przestępstwo spełnione zostało w mieście, oprócz kary, wynierzonej sąsiadom, mury miasta zostają częściowo rozrzucone, a bramy w inne przeniesione miejsca.

Miasto, którego mieszkańcy kilkakrotnie dopuściliby się wielkiej jakiejś zbrodni, jako siedlisko zgorszenia, zostałoby z ziemią zrównane. Nie pozwolono by nawet odbudować go na tem samym miejscu.

Poczucie odpowiedzialności sprawia, iż nikt ze służby nie tylko sam nie odważyłby się przywłaszczyć sobie łyżki, noża, lub innej drobnostki, będącej własnością pracodawcy, lecz każdy pilnie przestrzega tego u podwładnych i towarzyszach swoich.

Pewien oberżysta np. biegł z wiorstą drogi, goniąc przejeźdnego cudzoziemca, aby doręczyć mu zostawione w zajeździe puste pudełko od sardynek, które uważał za zapomniany, a cenny jakiś przedmiot.

Za winy popełnione we wsi, oprócz rodziny i sąsiadów odpowiada jeszcze wójt gminy, którego obowiązki są liczne, a bardzo uciążliwe. Jest on między urzędnikiem okręgowym a ludem jakby pośrednikiem, odpowiedzialnym za wszystkie nadużycia, jakie w gminie jego trafić się mogą.

Nieraz też odbiera łaską bambusową plagi od swego zwierzchnika za to, iż zawczasu nie uprzedził władzy o mającym się spełnić przestępstwie, którego oczywiście sam przewidzieć nie mógł.

Znacznie wyższą godność piastuje urzędnik okręgowy. Łączy on w swych rękach władzę, która conajmniej między

sześć osób podzielona być winna. Jest on równocześnie sędzią spraw cywilnych i kryminalnych, poborcą podatków, skarbnikiem i wiele jeszcze innych sprawuje urzędów.

Rzecz prosta, iż mandaryn taki, obarczony zbyt wielu obowiązkami, przy najlepszych nawet chęciach, żadnego dokładnie i sprawiedliwie wypełnić nie może i częstokroć na zdaniu swego sekretarza i pomocnika polegać musi.

A jednak i na nim ciąży odpowiedzialność za wszystko, co się w jego okręgu dzieje.

Jako wymowny przykład przytoczyć można odpowiedzialność mandarynów za szkody, wyrządzone przez wylewy rzek.

W lecie 1888 go roku w prowincyi Czyli z powodu gwałtownego tajenia śniegu wody górskiej z nieposkromioną szybkością i siłą spadały w doliny, zalewając ogromne obszary żyznego gruntu i niszcząc zasiewy.

Mandaryni tamtejsi gorliwie, nawet z narażeniem własnego życia starali się pohamować groźne fale. W obec rozłukanego żywiołu byli jednak bezsilni, jak mrówki, walczące z ulewą w czasie burzy letniej. Mimo to wice-król Li-Hung Chan, chcąc okazać im niezadowolnienie monarsze, żądał, by za karę odebrano im guziki na czapce urzędowej, honorując oznakę wysokiej ich godności.

Sam gubernator w raporcie do cesarza dodaje, iż poczuwa się również do winy i prosi, by wyznaczono mu odpowiednią karę za udział w tej nieszczęsnej sprawie.

Podobne wylewy rzek zdarzają się w Chinach dość często i za każdym razem hańbiąca degradacya dotyka mandarynów.

Odpowiedzialność taka nieprzerwanym łańcuchem wznosi się coraz wyżej, aż do samego Syna Nieba, który w drukowanych odezwach, korząc się w obliczu Niebios, przyjmuje na siebie odpowiedzialność za powodzie, głody, wojny, zarazy i za wszystkie te winy błaga przebaczenia Nieba.

Wsie i miasta dzielą się w Chinach na cyrkuly, z których każda liczy po 10 rodzin. Na drzwiach każdego domu znajduje się tabliczka, a na niej wypisane nazwisko głowy rodziny i liczba osób, zamieszkujących chatę.

Jeśli obcy jakiś, a podejrzany przybysz zjawi się w danej okolicy, ktokolwiek pierwszy spostrzeże nieznanego zawiadamia o tem natychmiast naczelnika owych 10 domów, ten zaś niezwłocznie udaje się do wójta. Stąd idzie wieść do urzędnika okręgowego, który wydaje rozkaz schwywania włóczęgi i wymierzenia mu surowej kary.

W podobny, nader prosty sposób mieszkańcy sami wykryć mogą każde przestępstwo, spełnione nawet przez stałego mieszkańca wsi, a przy gorliwości, zawczasu zwróciwszy na nie uwagę, potrafią nawet zapobiedz złemu.

To też dzięki owej patryarchalnej odpowiedzialności ogromna uczciwość i dobre obyczaje przechowują się w niektórych okolicach od wieków.

Jak widzimy, urządzenie takie możliwe jest wyłącznie wśród ludności, nie zmieniającej nigdy miejsca pobytu. I Chińczycy nawet nie zupełnie ściśle do niego się stosują.

A jednak, jeśliby każdy gospodarz wywiesił na drzwiach tabliczkę z dokładną liczbą osób, zamieszkujących dom, jeśliby wójt stale zapisywał w swych księgach listę mieszkańców, a urzędnik okręgowy ściśle kontrolował te listy, można by z łatwością, sporządzić dokładny spis mieszkańców Monarchii Środkowej.

Chińczycy jednak z obawy, by obliczenia te nie posłużyły do ścisłego opodatkowania ich, w wyjątkowych tylko okolicznościach tabliczki owe wywieszają.

W niektórych miasteczkach zjawiają się one na domach dopiero w chwili, kiedy mieszkańcy spodziewają się przybycia mandaryna, lub w zimie, kiedy wskutek głodu i trudniejszych zarobków, zwiększa się liczba podejrzanych włóczęgów.

Jest to może jedyny wypadek, w którym Chińczycy nie spełniają ściśle przepisów prawnych, gdyż w ogóle odznaczają się nadzwyczajnym szacunkiem dla prawa, a co za

tem idzie, i dla urzędników, którzy wypełniania tych praw pilnują.

Nawet uczeni, należący do najwyższej szanowanej klasy, w obecności mandaryna z przerażenia nie śmiały ust utworzyć.

Dziwna rzecz, że i klimat w Chinach zdaje się ściśle stosować do przepisów kalendarzowych. Niema tam, przynajmniej w środkowych prowincjach państwa, częstych, a niespodziewanych zmian pogody, jak to się u nas zdarza.

W dniu oznaczonym jako początek wiosny, zjawia się wiosna, a wszyscy obywatele Państwa Niebieskiego od razu zrzucają ciepłą odzież i lekko się ubierają.

Zauważyć tu należy, że w Chinach niema mody, lecz najdrobniejszy szczegół ubrania, zarówno mężczyzn jak kobiet, jest ściśle prawem przepisany, a dla każdego stanu inny.

Kiedy zaś kalendarz zwiastuje jesień, jak na komendę, powietrze ochładza się i gorące promienie słońca nie ogrzewają już ziemi. Mróz nie zaskoczy nigdy nieprzygotowanych mieszkańców, jak w innych krajach i kalendarz zawczasu oznajmia, którego dnia należy spodziewać się ogromnego spadku temperatury.

Przed kilku laty pierwszy mróz przepowiedziano na 23-go października. Przedtem powietrze było stale łagodne, dopiero rankiem owego dnia szron pokrywał ziemię odtąd powtarzało się to już codziennie.

Przez wiele lat obserwowaliśmy tę zgodność stanu powietrza z kalendarzem, a największa różnica między nimi wynosić może zaledwie trzy dni.

Taki sam porządek i dokładność spostrzega się i w świecie stworzeń żyjących. Wczesną wiosną zawsze zwracało uwagę naszą nagłe ukazanie się na oknach much, których przez kilka miesięcy zimowych ani śladu nie było. Otworzywszy wówczas kalendarz zawsze przekonywaliśmy się, iż na dzień ten zapisano właśnie „pojawienie się owadów.”

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Tu pan Jakób odezwał się, że dla niego i dla Witolda noc ta była obfitą w przygody. Mają pokój na górze w lichym, niedawno zbudowanym domku nad potokiem, w miejscu nie osłoniętym nawet drzewami i bezbroniem wobec wściekłości wichru. Drzwi jeszcze nie mają kluczy, a kłanki się źle zamykają, co im obu dotąd nie wadziło. Ale wicher bałny jak wziął trząść domem, tak szyby im z okien powytrzącał, a drzwi ustawicznie otwierał i zamykał z traskiem. Byli obaj jak Robinson z Piętaszkiem na bezludnej wyspie, bo na dole nikt nie mieszka, a wszystkie pobliskie chaty szczelnie pozamykano przed wichrem, i przy jego ryku niktby nawet nie posłyszał krzyku lub pukania. Wpadli więc na pomysł, żeby do kłanki u drzwi przywiązać ciężki kuferek, ale kuferek zaczął jeździć tam i napowrót, a drzwi nie przestawały się otwierać.

— No — pomyślałem sobie — mam ja inny pewniejszy sposób, który stanowczo złemu zaradzi. Przywiązałem grubym sznurem kłankę do nóg od łóżka i położyłem się na niem.

— No i cóż? — zapytali jednocześnie Matlakowski z Witkiewiczem — to nareszcie pomogło?

— A cóż, jeździłem z łóżkiem całą noc i zrobiłem pewnie ze dwadzieścia kilometrów drogi.

To rozśmieszyło wszystkich.

— Gdzież to panowie idziecie? — zapytał Matlakowski.

— Na wycieczkę.

— To widzę; ale dokąd?

— Nie wiemy.

— Jakto! wybraliście się na wycieczkę i nie wiecie dokąd idziecie?

— W dolinie Jaworzynki mamy się spotkać z sir Warburtonem, i tam dopiero dowienimy się o kierunku wyprawy. Spotkanie naznaczone na dziesiątą, więc mamy jeszcze czas.

— Widzieliśmy tutaj przeciągający cały jego orszak: wyprawa, na wzór słynnych wypraw Chałubińskiego. Narachowaliśmy dziesięciu górali. Niesiono także namiot.

— A to coś na wielką skalę — dodał Matlakowski — chyba na kilka dni zamierzona wyprawa! Jakże się Anglikowi podobają Tatry?

— Jeżeli Anglik może się czem zachwycić, to śmiało twierdzą, że jest zachwycony.

— O! — rzekł Matlakowski — trzeba być gruboskórym fizycznie i moralnie, żeby uroków tego kraju nie odczuwać. Na łąkach, w lasach, nad brzegami potoków buja tu przepyszna roślinność, suta, rozpanoszona, soczysta tak, że prawie aż żdzbia są przejrzyste; jedrna od wody tak, że w ręku po zerwaniu więdną, a jaka barwna! Trawy tu są zieleńsze, chabry modrzejsze, jaskry żółciejsze. Łąka, to wielki bukiet w którym na tle przedziwnej delikatności zieleni, bieli się tysiące białych chryzantemów i parnassyi, różowicie tysiące mieczyków, błękitnieją dzwoneczki, i złoci się nieprzełiczona moc dzwoniców i bratków; kobierzec, po którym rozsypane niezliczone oczy złotych okrajków, promieniste, fioletowe kółeczka chabrów, potężne łby szcherbaków na wybujanych łodygach, oryginalne łodygi z niebieskimi kłosami wilczyńców. A nad tem bujają ogromne kity tymotki, drżą kłoski drzączki, chwieją się nikiel jak pajęczyna wikliny polne, pochylają stokłosa i inne dziesiątki gatunków najzieleńszych, najdelikatniejszych, prawie bezcielesnych żdzbeł trawek. Co za cudowny kontrast barw szarej turni, wystającej wśród ciemno-zielonego lasu, lub dalekich szczytów granatowo modrych, w zinnoku chmury, a przeświecanych, eterycznych, prawie niecielesnych, pod zachód słońca w dni pogodne?

— Pan jesteście poetą!

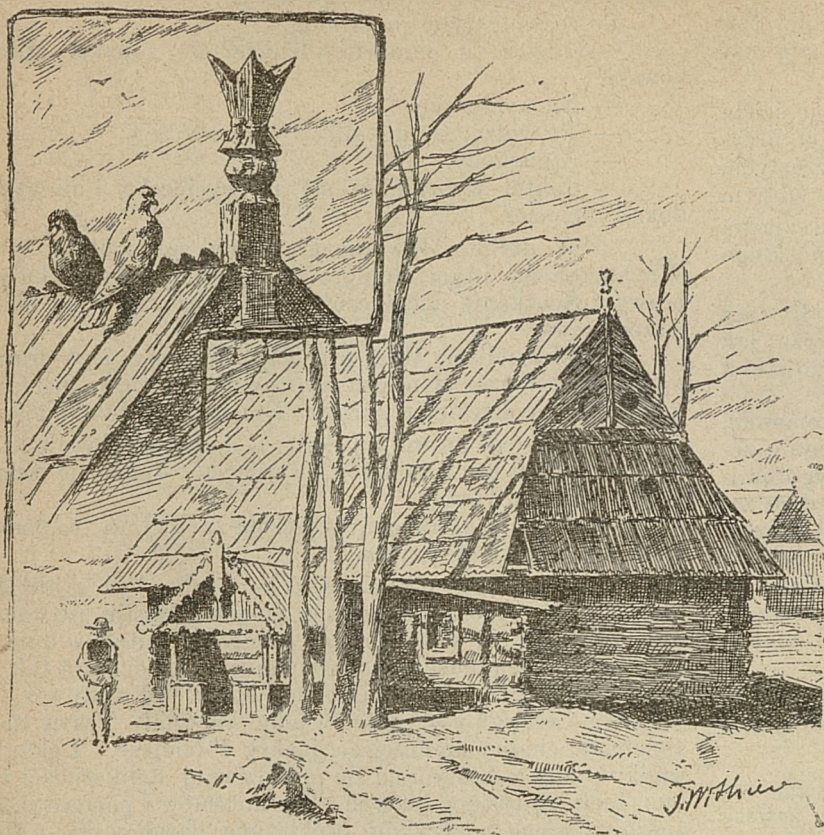
— Zawszą, z łąk, pól, od kwiecica, od bojowniczej świerczyń w reglach, od kosówki wkraczającej na nagie turnie, od niezapominajek lazuruwej barwy, rosnących na brzegu tającego śniegu, bije taka woń przecudna, że ta woń, ta niebieszcza przeczyszcza dali, ta zieleń łąk, ta para w powietrzu, i ta rzekomość atmosfery sprawia, iż życie samo, o ile bóle lub widok innych ludzi nie przerywa złudzenia, zdaje się marzeniem nie rzeczywistością, i wśród ciszy na szczycie przychodzą złudy w kształcie drgających przed oczyma mroków. Słychać najsubtelniejsze szmery, których źródłem tylko krew krążąca w uchu; czuć jakieś mrowienia, których źródło nie z zewnątrz pochodzi. Człowiek mimowoli ogląda się za muchą, spęda ją z brwi, a to elektryczność podnosi włosy na skroni.

— O panie, pan ukochałeś Tatry prawdziwie, ho widzisz i czujesz rzeczy niedostępne dla innych.

— W tej błogości wreszcie zdrowy człowiek po raz pierwszy spostrzega, że on oddycha czemś co w niego wchodzi; poznaje zmysłami powietrze, które tylko albo znał z fizyki, albo zdradzał mu je węch, gdy było zanieczyszczone. Tu po raz pierwszy oddychanie sprawia mu nieznaną przyjemność, wytwarza uczucie reżowości i świeżości.

Piękna twarz mówiącego słabym pokryła się rumieńcem, pod wpływem uniesienia, z jakim mówił. Zmęczyło go to. Pan Witkiewicz, jakby chcąc to przerwać, zapytał:

— Jakże Anglik zapoznał się z Sabałą?



Chata Kuby z pazdurem.

— Schodził właśnie granią Kościeliskiej doliny w chwili, gdy mu o nim opowiadałem i jego oryginalnej filozofii. Zatrzymaliśmy go więc na wieczór i na noc, i słuchaliśmy jego opowiadania „O śmierci.”

— Ależ Anglik nie mógł tego rozumieć!

— Tłomaczyliśmy mu na poczekaniu.

— O! — rzekł pan Stanisław Witkiewicz — Sabala, to też jedna z największych osobliwości tych gór. Umie zaledwie czytać i pisać, a całą jego nauką zasadza się na obserwacjach zebranych w walce z dziką naturą, ale dusza niepospolita rzuca na jego postać światło bijące od dzieł wszystkich wielkich poetów. Cały świat górski żyje w jego mowie: Wierchy i przepaście, orły, niedźwiedzie, świstaki i kozice, blaski słońce, cienie chmur i mroki nocy; skały i śniegi i wonna zieleń smreków i czarne krzaki kosodrzewiny, i szum wód spienionych. Jego nieporównanie ruchliwa twarz mieni się wszystkimi odcieniami uczuć, jakie wspomina. Sabala w opowiadaniu jest i sobą i niedźwiedziem i orłem i skałą i Liptakiem i kozicą. Jego ręce rysują w powietrzu kontury grani, opadają po stromych ścianach skał, lub ważą się jak orle skrzydła nad przepaściami. Kiedy Sabala mówi: „do wirchu” wznosząc oczy i palce ku górze, to widzi się szczyt zaoblony. Temperament Sabala, to temperament arabskiego rumaka, ognisty, lotny, odważny, zreczny a łagodny.

— O, pan także jesteś poetą! — rzekł Jakób, a pan Witkiewicz mówił dalej:

— Gwara góralska uderzająca bogactwem wyrazów i form językowych, użyta przez Sabalę staje się czemś tak artystycznym, że niektóre jego opowiadania lub bajki są skończonemi wzorami doskonałości wyrażenia ludzkiej duszy, za pomocą słowa. Zwięzłość, wyrazistość, jasność i dobitność jego określił,



Wiewiórka.

jest niezrównana. Ale widzę że my tu panów zatrzymujemy, a komu w drogę, temu czas. Idźcie już, idźcie, a my będziemy rysowali.

— Nam znów nie spieszy się tak bardzo: na dziesiątą. Pójdziemy sobie nie zanadto się spiesząc i oszczędzając nóg na później jeszcze daleko. Do widzenia.

Zamieniono uściski dłoni, i dwaj poeci zostali przy starej chacie, a trzech nasi znajomi szli przez las i Kuźnice, zinięzając do Jaworzynki. Henryk po tem co słyszał od doktora Matlakowskiego, innemi oczyma teraz patrzył na otoczenie. Miał on wrodzone poczucie piękna, ale nie zdawał sobie z niego sprawy. Cieszył się widokiem uroczej natury, używał swobody, ale teraz dopiero przekonał się, że patrzeć a patrzeć to różnica.

Po łące rozlegały się dzwonki krów i nawaływanie pasterzy. Słońce przygrzewało, ale w lesie był miły chłód i rosa leżała na liściach. Henryk wywijając ciupagą, spłoszył wiewiórkę, która sunęła w jednej chwili na wierzchołek drzewa, i patrzyła na niego wystraszona, puszystym nakrywając się ogonem. Na smrekach siedziały całe gromady krzywonosów, *Lovia curvirostra*, dobywając ziarno z szyszek, które obficie obrodziły w tym roku. Czas jakiś szli nad brzegiem strumienia, przysłuchując się jego graniu: nagle chłopiec zatrzymał się, mówiąc:

— Jak tu fiołki pachną! Czy pan czuje, panie Jakóbie?

— Niepodobna nie czuć — odpowiedział — zapach miejscami jest bardzo silny.

— Czuję ten zapach już od pół godziny, a jednak niema tu nigdzie fiołków, bo okrą-

gławe ich listki poznałbym odrazu — mówił chłopiec dalej. — Myślałem, że to tylko moje osobiste złudzenie, ale skoro i pan to zauważył...

— I ja także — wtrącił malarz.

Jakób uśmiechnął się.

— Czyż nie pachniały wam fiołki w dolinie Kościeliskiej? — spytał.

— Pachniały, ale tam przynajmniej widzieliśmy je.

— To prawda — przyznał Witold — a dziwna rzecz, że fiołki najwięcej pachniały mi nad strumieniem.

— Mianowicie tam, gdzie była obfitość kamyków ciemno-czerwonych, jak te oto. Nieprawdaż?

— Być może, ale nie zwróciłem na to uwagi.

— Ach! — zawołał Henryk, uderzając się w czoło — już wiem: to one pachną! Pamiętam jak pan Jakób, unosząc się raz nad pięknościami tego kraju, mówił nam, że tu ściany pachną wanilią a kamienie fiołkami. Było to wtedy, gdy ujrzałem pierwszy raz góry, wychylające się ze mgły, w której byliśmy uwięzieni. (d. c. n.)



Krzywonos.

8 i 9 list Janka Ł. do Redakcyi Wieczorów.

(Dokończenie).

Młody oficer zdawał się współczuć memu losowi, zawołał na jadącego w szeregu wachmistrza i kazał przyprowadzić konia, dano mi nawet jakiś stary mundur, bo byłem

okropnie obdarty. Wyobraźcie sobie waszego kolegę boso, na koniu, w mundurze spadającym mu do pięt i w białym kasku, który przydał się bardzo, bo choć teraz zima, słońce dogrzewa jednak chwilami silnie. Pożegnałem starą Betschuanę i oddział ruszył w stronę Lichtenburga. Dowódca pozwolił mi jechać obok siebie, rozmawialiśmy coraz swobodniej, wspominając różne miasta europejskie, a zwłaszcza włoskie, gdzie mieszkałem dawniej z rodzicami. Podziwiałem niezmierny wdzięk Anglika, dowiedziałem się też wkrótce, że nazywa się sir John Huntley. Mieliliśmy więc obaj jedno imię ale on był synem lorda, jego starszy brat mieszka w pięknym zamku i jest dziedzicem olbrzy-

Anglików, napadając na nich niespodziewanie. Zwłaszcza dowódca burski De Wet jest mistrzem w partyzanckiej wojnie, umie spaść na kark nieprzyjacielowi, w chwili kiedy ten najmniej go się spodziewa. Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się od młodego oficera, z którym rozmawialiśmy coraz swobodniej. Końców prowadził z sobą armatę, jechaliśmy więc wolno i dopiero po dziesięciu dniach podróży stanęliśmy w Lichtenburgu, gdzie ten list piszę. Jutro wyruszamy ku Johannesburgowi, a na tę myśl serce bije mi przyspieszonym tętnem. Pomyślcie, koledzy, każda chwila zbliża mnie do miejsca, gdzie żyłem z ojcem, gdzie on czeka może na syna...



Wjazd do Wiednia króla Jana III-go. (p. str. 319).

miego majątku, on zaś sam musi dobijać się stanowiska, bo w Anglii istnieje prawo u szlachty, mocą którego najstarszy syn zostaje właścicielem rodzicielskiej fortuny, młodszy w nauce lub w wojsku szukają sławy i chleba. Sir John ma matkę, która go niezmiernie kocha, i z wielkim niepokojem czeka jego powrotu. Obiecał pomódz mi w odszukaniu ojca, jego własny dawno już nie żyje, a potem rozmawialiśmy o wojnie i widziałem, że sir John choć Anglik ma współczucie dla Burów, że niechętnie mówi o ich klęskach. Podziwiał nawet odwagę i wytrwałość Holendrów; ja od miesiąca nie słyszałem nowin z pola walki, z ciekawością więc pytałem o przebieg wypadków i dowiedziałem się, że po śmierci Jouberta, generał Botha stoi na czele wojsk Burskich. Oddali oni nieprzyjacielowi Johannesburg, a nawet zapewne już i Pretoryę, ale nie myślą wcale składać broni, a górzyste położenie Transwaalu ułatwi im walkę. Potworzyło się mnóstwo małych oddziałów i te trapią

Johannesburg 6 czerwca.

Znalazłem list mój pisany przed trzema tygodniami w Lichtenburgu i korzystając z długiej nocy kończę go dopisując dzieje ostatnich dni. Ach ileż przeżyłem w nich wrażeń! Pamiętacie to, co pisałem na początku listu o sir Johnie Huntleyu. Jakże mi go żal, jak żal! Wyjechawszy z Lichtenburga wjechaliśmy w góry Witwater, wachmistrz stary i doświadczony radził wielką ostrożność, ale młodemu Johnowi przykrzyła się nieustanna baczność, z jaką należało postępować w dzikiej okolicy. Nagle, właśnie kiedy przebywaliśmy głęboki wąwóz, padł z góry strzał i artylerzysta, prowadzący pierwszą armatę, zwał się na ziemię, nie było można cofać dział, należało więc uciekać z pułapki, a tymczasem ukryci za złomami skał Burowie brali na cel oficerów, padł wachmistrz, padła cała obsługa armat, oglądałem się na sir Johna, który skoczył ku tyłowi oddziału

żeby przyspieszyć pochód i widzę jak rozkrzyżował ręce w powietrzu, jak zachwiał się na siodle i upadł pod konia. Pobiegłem do niego, żył jeszcze, ale krew szeroką strugą zalała piersi młodego żołnierza.

— Odeślij listy matce według adresu... proszę.. Boże zchaw duszę moją! — zawołał i zamknął na wieki oczy, te dobre łagodne oczy, w których było tyle współczucia, kiedy mówił o ofiarach wojny. Klęczałem przy nim, podtrzymując mu głowę, choć chłód śmierci owiał już szlachetne czoło młodego Anglika. Koło mnie biegali żołnierze, straciwszy przytomność w obec niewidzialnego nieprzyjaciela. Bo jakże walczyć z ukrytymi w skałach Burami. Strzelanina trwała jeszcze kilka minut, zabito nam konie od armat, byliśmy więc zdani na łaskę Holendrów, którzy też skorzystali z popłochu i wzięli nas wszystkich do niewoli, niewiele dbając o pochwytych szeregowców, o waszego kolegę zwłaszcza. Jeden z Burów potrafił mnie nawet dość niegrzecznie, widząc, że odpinam mundur zabitego wodza, chcąc wyjąć papiery, które polecił mi przesać matce. Szczęściem spostrzegłem znajomą twarz i omal nie krzyknąłem z radości.

— Tom, nie poznajesz mnie! — zawołałem. Tak, to był Tom, wnuk Holenderki, u której spędziłem w przeszłym roku Boże Narodzenie.

Toż on i Sam uczyli mnie polować na antylopy, od nich wróciłem szczęśliwie do ojca nad Tugelę. Tom poznał mnie nareszcie, mówił, że zmężniałem i urosłem, on i brat jego Sam służą w wojsku, chociaż są młodszy o kilka miesięcy ode mnie, ale teraz kiedy tylu starszych Burów poległo, dzieci nawet bronią ojczyzny.

Uścisnęliśmy sobie ręce, nie było czasu do stracenia, bo dowódzca partyzanckiego oddziału naglił o pośpiech. Holendrzy zabrali jedną tylko armatę, gdyż nie mieli koni dla uprowadzenia drugiej, zagwoździli więc działo, żeby uczynić je nieużytecznem i dowódzca Burów nakazał odwrót.

Nakryłem biednego sir Johna Hutleya gałązkami akacyi, czerwony jego mundur świecił jak mak polny, i jak podcięty kosą kwiat leżał też ten młody, śliczny, wykwinny, a co ważniejsza, dobry panicz na brzegu afrykańskiego wąwozu. Służył mu on za grób. Biedna ofiara wojny!

Oddział, w którym walczył znajomy mój Tom, musiał pozostać w górach Witwaterskich, pilnując przesmyków, któremi ciągnąć miały wojska angielskie, wracające z pod Mafekingu. Mnie pozwolono iść do Johannesburga, bo Tom zaręczył, że nie zdradzę przed nieprzyjacielem tajemnic Holenderskiego oddziału. Pojechałem więc na koniu, danym mi przez biednego sir Johna, ale trzy dni tylko cieszyłem się moim wierzchowcem, gdyż odebrali mi go Burowie, których spotkałem po drodze. Nakarmili za to przynajmniej zgłodniałego i dali nawet suszonego mięsa na drogę, którą odtąd przebywałem pieszo, kierując się wciąż na wschód ku Johannesburgowi. Myśl, że dowiem się tam może o ojcu, dodawała siłę, choć doznawałem nieraz takiego głodu, o jakim chyba wy, kochani koledzy, nie macie wyobrażenia. Wiem teraz, że liście akacyi są mdłe, a wiem także, że lodyga kaktusa jest cierpką. Raz udało mi się złapać jakieś małe, szare zwierzątko, podobne do szczura ale znacznie większe, zjadłem je i wierząc, smakowało mi wybornie. Znalazłem też kilka gniazd z jajami, które mnie trochę pokrzepiły.

Cóż znaczą jednak trudy i głód, w obec myśli, że odnaleźć mogę ojca, patrzyłem też z ufnością w niebo, podczas długich nocy, choć szakale i hyeny straszyły mnie swoim wyciem. Na horyzoncie błyszczał gwiazdozbiór południowego krzyża, a ja czułem nad sobą opiekę Najlepszego Ojca, Który karmi wróble i odziewa lilie polne.

O dwie mile od Johannesburga napotkałem wóz pocztowy byłem tak zmęczony, że nie mówiąc ani słowa wyciągnąłem ręce do woźnicy i ten dobry człowiek ulitował się nademną. On to przywiózł mnie dziś do miasta, a widząc, jak jestem głodny, poczęstował własną kolacją i pozwolił przenocować w swojej izdebce. Nie miałem siły

wyjść na ulicę, przytem było już zbyt późno. Chciałem przedewszystkiem spełnić wolę umierającego sir Johna Hutleya. Zapieczętowałem jego listy, a wyjmując je, znalazłem ten, który zacząłem pisać do was w Lichtenburgu. Nie mogę spać, bo myśl, że jutro dowiem się może co o ojcu, spędza mi sen z powiek. Dzięki wam, koledzy, oczekiwania tego jutra nie jest mi tak przykrem. Już trzecia godzina wydzwoniła na miejskim zegarze, znam jego głos... Boże! tatko nie śpi może także i słucha uderzenia jak ja ich słucham. Kiedy o tem myślę pot oblewa moje ciało. Trzeba jednak być rozsądnym, spróbuję przespać się trochę, żeby nie wyglądać bardzo mizernie i nie zmartwić kochanego ojca. Już tylko zaadresuję list, choć oczy kleją mi się do snu, pocziwy gospodarz obiecał zabrać moją korespondencję i opłacić porto. Ofiarowałem mu za to srebrną tabakierkę, znaną w kieszeni angielskiego siodła, na którym przebyłem podróż z sir Johnem. Biedny sir John, on nigdy już nie zobaczy matki, a ja jutro, jutro...

Struś.

TESTAMENT DZIWAKA.

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A.

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Dowiódł tego Kymbale, bo czego nie widział, gdzie nie był przez te dni parę, o tem przekonają nas pospieszne notatki, które służyły mu za kanwę do obrabiania artykułów przesyłanych Trybunie.

— 22-go maja. Zwiedziłem Denver. Miasto piękne, ulice długie, ocienione; magazyny równie wspaniałe jak w New-York lub Filadelfii. Kościoły, teatry, sale koncertowe, domy bankowe, wielki gmach uniwersytetu — olbrzymie, główne składy miejscowego przemysłu. Hotele i restauracje urządzone z wielkiem przepychem. Bardzo dobrze jeść dają w restauracyi francuskiej.

Denver założone dopiero w 1858 r. nad zbiegiem rzek Cheery Creek i la Plate. W 1859 r. było tu zaledwie trzy kobiety i w tym roku pierwsze urodziło się tu dziecko. W dwadzieścia lat później liczyło już miasto dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Nieustanny i teraz dopływ kolonistów. Obecnie około siedmiu kroć sto tysięcy dusz.

Nazywają Denver miastem nieporównanem, z którym trudno innemu rywalizować. I prawda. Powietrze tu czyste, przesycone tlenem, aż oddychać lekko. Łańcuch gór Colorado na zachód wysokości tysiąca siedm set stóp; bogata zielen u podstawy, śnieg na wierzchołkach. Dokoła miasta uroczyska. Gdy wygrają partję, zbudują tu sobie letnią rezydencję. Będą miał powozy, konie, psy... służbę białą i czarną. Uprzejme przyjęcie u gubernatora, któremu złożyłem wizytę. Postawił znaczną na mnie sumę i sądzę, że nie dozna zawodu.

24-ty maja. Wycieczka koleją do Pueblo (Południowe Colorado) wzdłuż wielkiego łańcucha gór. Punkt środkowy przemysłu górniczego: kopalnie węgla kamiennego i nafty. Zakupię jedną lub dwie, gdy wygrają partję. W przejeździe parę godzin spędzonych w Colorado Springs, mieście milionerów. Sławne tam kąpiele, odwiedzane licznie przez chorych i takich, którzy tylko z nudów za chorych się podają. Byłem w sławnym Parku Pomników, gdzie skały, niby wspaniałe jukoweś dzieła sztuki architektonicznej, ludzją zachwyt i podziw. Colorado zajmuje pierwszą

niejsze między Stanami Unii w stosunku ilości dobywanego łożu — drugie pod względem produkcyi srebra i złota, a trzecie obszarem swym, który wynosi sto cztery tysiące mil kwadratowych.

25-ty maja. Wracam ze Szwajcaryi — oczywiście Szwajcaryi amerykańskiej, we wschodniej gałęzi gór Colorado. Przepiękna miejscowość, dorównuje bodaj Parkowi Narodowemu w Wyoming, a pewno piękniejsza od Szwajcaryi europejskiej, przynajmniej dla mnie, obywatela Ameryki. Dzikie parki w północnej, środkowej i południowej stronie, a najwspanialszy park Fair-Play, otoczony górami Lincoln, których wysokość oznaczają na tysiąc czterysta stóp. — Zwiedziłem Bliźniacze jeziora rozdzielone wysoką groblą.

Z przyjemnością zatrzymałbym się tu parę tygodni. Już postanowiłem kupić w niedalekiej przyszłości willę w Denver, dwie kopalnie węgla w Colorado, to i dla czego miałbym sobie odmówić szaletu nad brzegami Twin Laks?...

Z wyniosłych tu szczytów dojrzałem góry Sierra Madre, rozsiadłe na najobszerniejszej wyżynie w Ameryce. wynoszącej trzysta siedemdziesiąt pięć mil. Bodaj w żadnym państwie europejskiem z wyjątkiem, Rosyi, nie miałyby tak wygodnego pomieszczenia. Jest to sam grzbiet północnej Ameryki, który wznosi się stopniowo ku zachodowi, zajmując czwartą część Stanów Zjednoczonych. Gdyby można zbić w jedną masę Alpy, Pireneje i góry Kaukaskie jeszcze materiały ten nie starczyłby na zbudowanie tylko jednych gór Skalistych.

Brak czasu nie dozwolił mi zwiedzić góry Świętego Krzyża, punkt najdalej na północ wysunięty z gór Łańcucha Narodowego, nazwanych tak przez Heydena i Whitney'a w czasie ich wyprawy w te strony w 1873 r. Natomiast wszedłem Bramą bożków do Ogrodu bożków, cztery mile od Colorado Junction. Miejscowość wprost wspaniała, gdzie łomy skalne stoją niby posągi bóstw z jakichś przedpółnocnych czasów. Przechadzałem się u stóp sławnej Teocalli, skały w kształcie wielkiego zamczyska średniowiecznych burgrawów, którego baszty i wieżycy wysokości dwóch tysięcy pięćset stóp, giną w obłokach.

Pozostaje mi jeszcze dużo ciekawych miejscowości, gdziebym pragnął dojechać, lecz nie mogę się opóźniać ani zapomnieć, że gubernator Colorado i niezawodnie wielu innych bogaczy poczynili o mnie zakłady, a że to już dziś 26 maja; trzeba koniecznie, choć z żalem, wracać do Denver.

Kymbale nie szczędził pochwał Stanowi Colorado, ale nie były one przesadzone. Jest to bowiem rzeczywiście kraj niezwykle piękny i bogaty. Ile to wskazać krwi ludzkiej wsiąknęło w tę ziemię! Od roku 1867, pierwsi pionierzy rasy białej rozpoczęli walkę z dzikimi plemionami Czerwonoskórców, Cheyennami, Arrapahami i Komanszami, którzy bronili swych siedzib i swobody, dopóki tylko sił im starczyło, zagrzewani do boju przez bohaterów swych wodzów Czarnego Kozła, Białą Antylope, Lewą rękę, Białą płaszcz i t. p., których pamięć żyje dotąd w licznych opowieściach. A czyż można kiedy zapomnieć o strasznej rzezi w Sand Creek w 1864 r., która ostatecznie zapewniła białym panowanie w kraju pod dowództwem pułkownika Chivingtona.

Jeszcze przed odjazdem dnia 26-go Sztandar Zielony uczestniczył w wydanym dla niego bankiecie.

Znaną jest rzeczą, że Amerykanie więcej jak ktokolwiek szacują ludzi wedle ich majątku; gdy więc Harris T. Kymbale, zarówno w swoim jak w ich mniemaniu, już przedstawiał kapitał sześćdziesięciu milionów, nie dziw, że starali się uświetnić to przyjęcie wszystkim, czego za złoto dostać można. A tego złota nie brakuje im tam przecie mają go nie tylko w swych kieszeniach i szkatułach, ale w ziemi i we wszystkich swych przemysłowych miastach.

Nazajutrz po uczcie, czwarty partner żegnany przez gubernatora i licznych swych stronników, opuścił Denver, przejechał przez Fort Wallace, granicę Stanu Kansas, przebył Missouri, bez zatrzymania się w jego stolicy Jef-

erson-City i wieczorem 28 stanął na pograniczu wschodniem w Saint-Louis.

Lecz nie miał zamiaru zabawić dłużej w tem mieście, nad konieczny wypoczynek i dalekim był również od obawy, aby go los zmusił wrócić doń powtórnie. Była to bowiem w szlachetnej grze gęsi, przedziałka mieszcząca wcale nieponętne Więzienie.

Więc po wygodnie przespanej nocy w hotelu Europejskim, chciał zaraz pierwszym odpowiednim pociągiem ruszyć dalej. Tymczasem zaszedł wypadek, którego najmniej mógł się spodziewać.

Była zaledwie godzina siódma rano, gdy szedł pospiesznym krokiem przez peron dworca kolejowego, aby rozpatrzyć następny plan jazdy, aż nagle potknął się, a raczej został popchnięty przez jakiegoś jegomościa, który z wielkim pośpiechem wybiegł z jednego z biur miejscowych.

— Bałwanie jakiś! — krzyknął nieznajomy.

— Brutalu!.. — brzmiała odpowiedź.

— Patrz, gdzie idziesz!..

— Radę tę zastosuj do siebie!..

Każdy przyzna, że tak gwałtowna wymiana słów mogła jedynie mieć miejsce między osobami z charakterem bardzo żywym i łatwo się irytującym; że zaś tak było istotnie dość powiedzieć, iż niefortunnie spotkanym przez Kymbalę jegomością był nie kto inny, tylko komodor Urrican we własnej swej osobie.

Jeden rzut oka wystarczył Kymbalowi, by poznać swego współzawodnika.

— A-a-a!.. to komodor!.. — zawołał, nie ukrywając zdziwienia.

— A-a-a! to dziennikarz! — huknął w odpowiedzi szósty partner, który na szczęście był tu bez swego zwykle nieodstępного Turka, bo inaczej kto wie, do jakich ostateczności przyjsby mogło.

A więc nie tylko Hodge Urrican przeżył zatonięcie Chicoli, ale mógł nawet opuścić Key-West w dość krótkim stosunkowo czasie. Jakże się to stało?... Ot, zwyczajnie, co ma wisieć nie utonie, jak mówi przysłowie.

Musiał zaś podróż swą odbyć niezwykle prędko, skoro jeszcze 25-go przebywał na Florycie. Było też to prawdziwe zmartwychwstanie, któremu niewiadomo czy wszyscy współpartnerzy bardzo się cieszą.

Mimo wszystkiego jednak, usposobienie jego nie zgadniało bynajmniej, kto wie nawet czy nie stał się więcej jeszcze gwałtownym, więcej rytującym, co już tym razem łatwiej zrozumieć możemy, wiedząc, że była to nie-szczęсна droga do Kalifornii, skąd po uiszczeniu potrójnej opłaty, wracać miał zaraz do Chicago, aby rozpocząć grę na nowo.

Tak mało szczęścia mogłoby i najłagodniejszego człowieka znicić.

Kymbale tymczasem, jako młodzieniec dobrze wychowany, chcąc nieco zatrzeć zbyt ostre przemówienie, uznał teraz za potrzebne przedstawić się, dodając w końcu:

— Winszuję panu, żeś tak szczęśliwie uniknął śmierci i dobrem, jak widzę, cieszysz się znów zdrowiem.

— A tak, nawet dzisiaj rozbiecie przez takiego niedarę, nie zabiło mnie... Zdrow jestem i zdolnym pochować tych, którzy się mą śmiercią już cieszyli...

— Czy do mnie pan te słowa stosujesz? — zapytał czwarty partner, ściągając brwi.

— A do kogożby? — odparł Urrican, patrząc swemu przeciwnikowi prosto w oczy. — Niema tu przecie nikogo więcej prócz pana, cackanego faworytka.

Kymbale nie należał do flegmatyków, więc poirytowany już niegrzecznością komodora, odparł mu złośliwie:

— Widzę, że podróż do Kalifornii i powrót do Chicago nie czyni ludzi grzeczniejszymi.

Przyczynę ten przypominający niepowodzenia w grze, dotknął najsłabszej strony komodora.

— Cóż to, kpiny pan sobie ze mnie stroisz!.. — wykrzyknął.

— Możesz pan przyjąć słowa moje, jak sam zechcesz.
— A więc przyjmuję je źle — i za obrazę żądam zadosyćuczynienia.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Uroczystość na Kahlenbergu. — Olbrzymia uczta. — Niestosowny figiel.

Dnia 12 z. m. odbyła się staraniem stowarzyszenia „Historisch-christlicher Verein Wien-Kahlenberg 1683” uroczystość w kościele na górze Kahlenberg, w którym król Jan Sobieski dnia 12 września r. 1683 przed bitwą z Turkami służył do mszy św., odprawionej przez delegata papieskiego ks. Marco d'Aviano. Jak w latach poprzednich, tak i tego roku obchód pamiątkowy odbył się solennie. Uczony ks. dr. Wolfgruber wygłosił na wstępie kazanie treści historycznej, oddając należytą cześć Sobieskiemu. Sumę odprawił ks. prałat dr. G. Marschall prezes wspomnianego na wstępie stowarzyszenia, przyczem asystowało mu pięciu księży; na końcu odśpiewano *Te Deum*. Podczas nabożeństwa śpiewali chłopcy zakładu sierot. Udział publiczności był liczny, znalazła się też garstka Polaków.

Z tego powodu dajemy rycinę, przedstawiającą wjazd króla do Wiednia po zwycięstwie nad Turkami i oswobodzeniu miasta od niechybnej zguby.

Olbrzymią ucztę wydał w tych dniach rząd francuski w Paryżu dla 22,000 merów t. j. wójtów, którzy zjechali do stolicy ze wszystkich gmin Francji. Przygotowanie bankietu powierzono jednej z paryskich firm restauracyjnych, która obliczyła, iż potrzebować będzie przedewszystkiem 80 kucharzy. „Szeffowie” ci przygotowują między innemi 2340 bażantów, 4800 funtów poledwicy wziętej z 250 wołów, 4000 funtów łosia, 1200 litrów sosu majonezowego, 2500 pulardek, 2000 funtów winogron, 10.000 brzoskwiń, 6000 gruszek, 20,000 śliwek, 50,000 butelek wina czerwonego i białego, 66,000 nakryć srebrnych na zmianę, 250,000 talerzy, 606 stołów, 8 kilometrów obrusów, 30,000 serwet, 1215 kelnerów starszych, z których każdy wydawać będzie rozkazy 8 młodszym. Na salatę do pieczystegołoży się 2500 funtów fasoli, kartofli i selerów, beczka oliwy i beczka octu.

Niedawno zdarzył się zabawny wypadek biskupowi monastyrskiemu w Westalii, znanemu ogólnie ze swej dobroci i przywiązania do dzieci. Biskup, wyszedłszy ze swego pałacu na codzienną przechadzkę, spostrzegł, iż jakiś chłopczyzna napróżno stara się uchwycić na rączkę od dzwonka przylegającej do pałacu kamienicy.

— Chcesz dzwonić? — zapytał biskup.

— Tak, wuju biskupie — brziniła odpowiedź malca, wszystkie bowiem dzieci w Monastyrze nazywają biskupa

„wujem.” Sędziwy dostojnik Kościoła pociągnął silnie za dzwonek i czekał, aż ktoś otworzy. Malec, z oczyma roziskrzonymi od figlów, patrzył ciekawie, co z tego wyniknie, aż gdy usłyszał kroki kogoś nadchodzącego z wewnątrz, pociągnął biskupa za sutannę i zawołał:

— No, wuju biskupie, teraz zmykajmy, bo nas złapią. Poczem zemknął jak zając, i zginął za najbliższym parkanem. Biskup pozostał sam właśnie w chwili, gdy otworzyła się brama i właściciel domu spytał pozostałego „figlarza,” czem może mu służyć?

Zadanie o siedmiu skarbonkach.

Reginka ma siedm ciotek, bardzo oszczędnych, które pragną usilnie rozwinąć w niej cnotę oszczędności, Reginka bowiem otrzymuje dość dużo pieniędzy i zdradza skłonność do rozrzutności. W tym celu na Nowy Rok 1900 każda z ciotek ofiarowała swej siostrzenicy po skarbonce.

Reginka opatrzyła każdą skarbonkę numerem porządkowym od 1-go do 7-go i postanowiła wrzucać po 5 kopiejek codziennie do skarbonki Nr. 1, co drugi dzień do skarbonki Nr. 2, co trzeci do skarbonki Nr. 3 i tak dalej, tak, iż do skarbonki Nr. 7 miała wrzucić pięciokopijkówkę tylko raz na tydzień. Następnie postanowiła wyjąć pieniądze dopiero w tym dniu w którym wypadnie jej wrzucić po pięć kopiejek do wszystkich siedmiu jednocześnie.

Zaraz po otrzymaniu skarbonek t. j. 1-go stycznia 1900 r. rozpoczęła pełnienie swego postanowienia i wrzuciła 5 kopiejek do skarbonki Nr. 1.

— No! — myślała sobie — pewnie zbieram sobie kilkanaście rubli!

Tymczasem mijał św. Jan, minął św. Michał, a nigdy jeszcze nie wypadło Regince wrzucić po 5 kop. do wszystkich siedmiu skarbonek jednego dnia. Zniecierpliwiona i zaniepokojona (bo może taki dzień wcale nie wypadnie!) prosi czytelników „Wieczorów,” biegłych w arytmetyce, aby wyliczyli i donieśli za pośrednictwem Redakcyi, kiedyż nareszcie t. j. jakiej daty, miesiąca i roku wypadnie jej wrzucić po 5 kop. do wszystkich siedmiu skarbonek jednego dnia? jaka wówczas zbierze się ogółem sumka?

24 lutego 1901, 54 vs. 45 kop.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38.

Metagramy: Kakao — Makao.

Łamigłówki sylabowej:

1) Altaj. 2) Dyana 3) Absalon. 4) Menelik. 5) Montewideo. 6) Ingulec. 7) Czech. 8) Kalifornia. 9) Ilmen. 10) Ebro. 11) Wiesław. 12) Iris. 13) Ciechocinek. 14) Zambezi.

Adam Mickiewicz — Jan Kochanowski.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

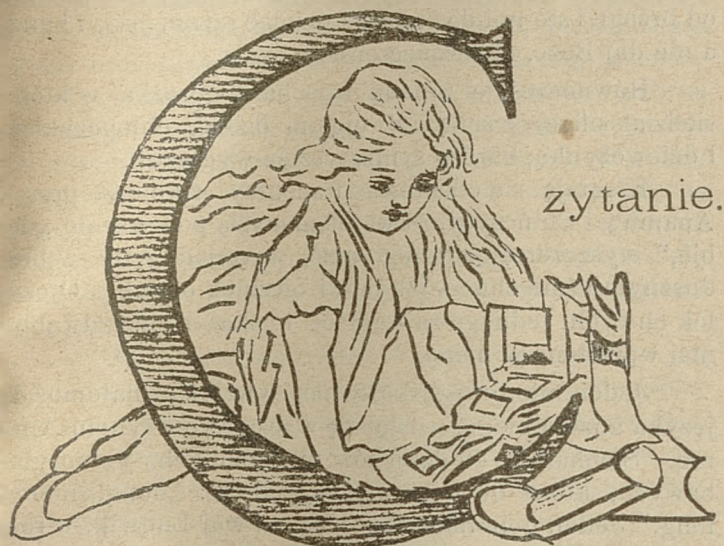
ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Dobranoc wiersz przez Z. Z. (z ryc.) — Najlichnieszy naród na świecie, opracowała Tomira. — Róża bez koleców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — 8 i 9-ty list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów. — Wjazd do Wiednia króla Jana III-go (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Abecadło w obrazkach: czytanie (z ryc.) — Konik polny i mrówka, wiersz przez Adama Pługa. — Śliwki, z legend o Matce Boskiej przez Kazimierza Kalinowskiego. — Dzienniczek Wańdzi. — Bajka o chłopcu zaklętym w karla. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Mały książę, powieść z życia żaków, według I. J. Kraszewskiego, przez Zofię Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Ценаурою. Варшава 15 Сентября 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Abecadło w obrazkach.



zytanie.

Celinka bardzo lubi książki. Sama się nauczyła liter, pytając się tatusia o nazwę tych czarnych znaczków, które te wielkie gazety od góry do dołu są pokryte. Teraz potrafi już składać słowa, a nawet pisze drukowanymi literami listy do swej siostrzyczki i bratczyków.

Nazywają też Celinę „małą uczoną,” bo lubi bardzo książki, woli je nawet od lalek; ogląda z zachwytem obrazki i posuwając paluszkami po literach, niejedno słowo odczyta. A żebyście wiedzieli, jak Celinka szanuje swe książki, w jakim je trzyma porządku! żadna nie połamiona, żadna nie rozdarta. Celinka nieraz potrafi w błąd wprowadzić innych, udając, że czyta wiersze, które doskonale na pamięć umie. Ale wnet wesołym śmiechem zdradza niewinny figiel.

Ucz się od dziecka szanować książki, bo to najpierwszy i najlepszy przyjaciel.

Natalia Nagórna.

Konik polny i mrówka.

Kiedy minęły ciepłych dni ostatki,
To konik polny, głód poczuwszy srogi,
Poszedł do mrówki, miłej swej sąsiadki,
Aby w pożyczce szukać zapomogi.
— Ratuj mię, kumo, bo zgine!
Daj z swych zapasów jaką odrobinę,

Oddam ci, przysięgam na to,
Jak będę mógł w przyszłe lato;
A póki mi życia stanie,
Za pomoc w ciężkiej potrzebie,
Z całego serca będę kochał ciebie.
Czułe mam serce, możesz liczyć na nie,
Gdybyś, broń Boże, sama była w biedzie.
— Najchętniej, drogi sąsiedzie!
Odrzecz mrówka uprzejmie a szczerze,
I wiedzie go w swe szpichlerze,
Gdzie różnych plonów leżą kupki spore,
Zebrane na jesienną i zimową porę.
— Bierz przyjacielu do syta —
Woła uprzejmie, lecz razem zapyta:
— Powiedz jednak miły bracie,
Zkąd ta nędza przyszła na cię?
Czemuś przez lato nie zrobił zapasu?
— Nie miałem siostrzyczko czasu —
Odrzecz konik — cudna była pora,
Więc od rana do wieczora,
A nieraz i przez noc całą,
Śpiewam a śpiewam, bywało,
A przy pieśni, bez pamięci,
Skaczę, aż się we łbie kręci!
— Tak? — znów go mrówka zagadnie —
Więc to dla tego schudłeś tak szkaradnie?
Jakże mi cię żal nieboże!
Pogość-że u mnie dni kilka,
Rozpatrz się dobrze, a może,
Widząc, jak mi każda chwila
W pracy wesoło upływa.
Jak jestem przez nią szczęśliwa, —
Choćby dziś, gdy cię, mój luby,
Tem, w co przez nią się bogacę,
Ratuję od pewnej zguby —
Może też mówię, sam ukochasz pracę,
I poznasz wtedy, jak błogo
Służyć innym, nie prosząc łaski u nikogo.

Adam Pług.

ŚLIWKI.

Z LEGEND LUDOWYCH O MATCE BOSKIEJ.

Głodno było nieraz w Józefowej zagrodzie. Chociaż dobra była z Maryi gospodyni, zdarzało się przecież kiedy niekiedy, że cały dzień nie mieli co jeść i zaledwie o trochę chleba wystarali się dla małego Jezuska.

Nie było we wsi przez pewien czas żadnej dla cieśli roboty, więc Józef poszedł poszukać jej dalej, do trzeciej czy czwartej wioski, byle co zarobić.

Marya została sama z Jezuskim.

Karmiła dziecię, czem mogła, by tylko nie zaznało głodu, a matka — jak dobra matka, nie troszczyła się o siebie.

Aż wreszcie drugi dzień chylił się już ku nocy, a Marya nic w ustach nie miała.

Posmutniała nieco, lubo nie skarżyła się nigdy przed nikim, ani Bogu nie żaliła się w modlitwach.

O zmroku wyszła z domu z Jezusem na rękę i szła powoli drogą, którą miał Józef powracać z roboty, alіści najdalej nikogo nie było widać..

Znużona, z głodu bezsilna, zatrzymała się. Przy drodze rosły gęsto drzewa. Noc była tak pogodna i jasna, że widać było każdy listek, jak drżał na gałęziach. Wzrok Maryi błędzić zaczął po drzewach. Gdyby gdzie owoc jaki najdzikszy — jeszcze byłby najlepszym pożywieniem w tej chwili — westchnęła, ale nigdzie nie było ani śladu owocu, ani jagód po krzakach.

Jezusek wyciągnął rączkę do najbliższej gałęzi zielonego drzewka i jak dziecko, bawić się liśćmi począł...

Tym razem jednak, gdzie się rączki jego liści dotknęły, pojawiły się duże, ciemne, soczyste śliwki.

A syn Maryi rwał je z gałęzi i do ust kładł matce, która jedząc je, zaspokoiła głód dostatecznie i obsypała Jezuska pocałunkami na podziękowanie.

Kazimierz Kulinowski.

Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

Na statku Colombo d. 4/5 1900 r.

Już kilka dni płyniemy, a ja nie zajrzałam do ciebie mój dzienniczku kochany, co ty na to? pewno się na mnie gniewasz, ale ja ci się wytłomaczę. Chociaż radabym codziennie pisać, jednak nie mogłam jeszcze przez te cztery dni wziąć pióra do ręki, bo morze było trochę więcej, niż zwykle wzburzone, a ja nie będąc przyzwyczajona do tego, nawet z biedą sama trzymałam się na nogach, a cóż dopiero pisać! na to nie mogłam się zdobyć. Dzięki Bogu, że nie miałam jak dotąd jeszcze morskiej choroby, mamusia także nie, a o ojczulku to nawet nie wspominam, on nigdy nie podlegał słabości na morzu, zbyt już dużo po niem pływał.

Ojczulek mówi, że gdy do bujania się przyzwyczaję to i ja nie będę na nie zważała i nic mi ono nie będzie szkodziło, naturalnie jeśli bujanie nie będzie zbyt wielkie. Ale muszę zacząć od początku opisywać, jak było z wyjazdem i pożegnaniem z wujostwem, którzy tak pocziwie zrobili, odprowadzając nas na brzeg morza.

Poranek był śliczny, pogoda cudowna, ale cóż, kiedy to dzień rozstania, więc my wszyscy smutni; 2-gi maj, a jednakże to nie złudzenie, że Colombo odpływa, że wszyst-

ko gotowe do drogi, dorożka stoi przed drzwiami, na piętrzona fotelami, przeznaczonemi na pokład, pudłami różnych rozmiarów, a w nich dziwaczne zakupy na klimat tonkiński stosownie: kaski, sandały, ochrony przed muskitami; wszystko to usłudni kupcy marsylijscy trzymają w pogotowiu dla licznych podróżnych, wyjeżdżających codziennie w różne świata strony.

Ruszymy ku portowi na znany nam mol D. Zdaleka widzimy już Colombo z kominem niebiesko i żółto pomalowanym, usłudni tragarze przenoszą rzeczy, schodk łączą brzeg wysoki ze statkiem. Tu już ruch nadzwyczajny, coraz nowe dorożki nowych przywozą podróżnych. Jedni patrzą na drugich, obcy sobie, a będą na tej małej przestrzeni spędzać razem długie dni i tygodnie „sto mil od brzegu i sto mil do brzegu!” dzieląc razem ciszę i burzę a nie daj Boże, niebezpieczeństwo życia.

Równocześnie z nami zajęchała dorożka w której siedział oficer z żoną i dwojgiem dzieci, chłopczykiem i dziewczynką; bardzo sympatycznie wyglądali.

Krzątają się oficerowie francuscy, żołnierze prości Anamicy i Chińczycy, rozweseleni myślą powrotu do „siebie,” wyszczerzają swe ogromne, wystające zęby w bezdusznym uśmiechu — jak mówi ojczulek o nich. Ojczulek chwycił jednego za warkocz i pokazał mi jedwabne nici wplecione w niego.

Jeden młody wojskowy popisował się znajomością języka anamickiego, wdając się w rozmowę z synem Anamu. Słucham tych dźwięków monotonnych, jednosylabowych, które do ucha wpadają mi tak: „dong, mong fong.” Jeden generał, — opowiadał mi wuj Ludwik, w rozmowie o murzynach powiedział: „prouvez-moi d'abord que c'est un homme” — i to mi przyszło na myśl, słysząc tę ich mowę.

Komisarze, kelnerzy przebiegają statek, znikają w małych otworach i drzwiczkach, nakrywają do śniadania. Schodzimy do sali jadalnej — wesoło tam — zapraszająco wygląda. Biała, długa, od sufitu zwieszająca się zasłona do środka stołu, porusza się automatycznie i chłodzić będzie biesiadujących podróżnych, gdy wjadą w powietrze ciężkie i upalne.

Rzędem stoją butelki i lód w wiaderkach.

— Spokojną jestem o posiłek wasz cielesny — mówi ciocia Kostunia — reszta nie w rękę komisarzy. A potem zeszedłszy do kajuty i zobaczywszy pasy ratunkowe, dodała: — oby wisiały tak nietknięte do końca podróży.

Ciocia powiesiła nad naszymi łózkami mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który miała jeszcze od swej matki, a mojej babuni.

Dziwnie ten obrazek wygląda pomiędzy pasami ratunkowymi, na które z początku bez pewnego strachu patrzeć nie mogłam.

Gdy dano pierwszy sygnał, mama i ciocia padły sobie w ramiona i jak na komendę wybuchnęły płaczem — całowały się po twarzy, po rękach, dawały sobie najpięszczotliwsze imiona i powtarzały naprzemian:

„Za trzy lata,” „a pisz,” za trzy lata.” „Mój Boże!”

(d. c. n.)

Bajka o chłopcu zaklętym w karła.

(Dalszy ciąg).

Szli, szli bez końca, przez całe miasto, nieznane zaułki, aż wreszcie zatrzymała się wiedźma przed jakimś niskim, zapadłym domkiem, wyjęła z kieszeni zardzewiały haczyk, wsunęła go w dziurkę od klucza, i w jednej chwili otworzyły się drzwi z łoskotem. Ale jakież było zdziwienie Jakóba, gdy wszedł do wnętrza.

Ściany i sufit błyszczały od najpiękniejszych marmurów, a wszystkie sprzęty były z hebanu, wykładane złotem i wysadżane drogiemi kamieniami, posadzka zaś szklana i tak ślizka, że Jakób ciągle się na niej przewracał. Tymczasem stara wyciągnęła z kieszeni srebrną piszczałkę i zaświstała głośno. Echo rozległo się po całym domu, a na ten odgłos zbiegł zaraz ze schodów cały szereg morskich świnek, ale świnki te nie chodziły na czterech nogach, jak zwykle zwierzęta, lecz na dwóch i miały na nóżkach łupiny z orzechów. Przytem były ubrane zupełnie jak ludzie, a na głowach miały kapelusze najświeższej mody.

— Gdzie moje pantofle? — krzyknęła stara — jak jeszcze długo będę na nie wyczekiwała? — i podniósłszy kij, zaczęła nim okładać zwierzęta. Morskie świnki uciekły czempředzej, lecz za chwilę powróciły, przynosząc dwie łupiny kokosowych orzechów, wyściełane safianem, które włożyły wiedźmie na nogi zamiast pantofli. Od razu ustało wszelkie chwanie się i ślizganie. Stara odrzuciła laskę i z nadzwyczajną szybkością, sunąc po szklanej posadzce, ciągnęła chłopca za rękę. Zatrzymała się wreszcie w jednym pokoju, który wyglądał niby jak kuchnia, chociaż stały w nim mahoniowe stoły, zasłane bogatemi dywanami, a wszystko to było odpowiedniejsze do salonu aniżeli do kuchni.

— Usiądź — rzekła baba, popychając go na sofę, którą zastawiła tak stołem, aby chłopiec nie mógł wyjść. — Usiądź — powtórzyła — dobrze nadźwigaleś się, bo głowy ludzkie nie lekkie, wcale nie lekkie.

— Co wy też wygadujecie — rzekł chłopiec — prawda, że zmęczyłem się, ale przecież nie niosłem głów ludzkich, tylko kapuściane, te coście od matki kupili.

— Oj, to źle wiesz, to źle wiesz — zaśmiała się baba a rozwinąwszy płachtę, wyjęła z niej ku wielkiemu przerażeniu malca, prawdziwą ludzką głowę, rzuciła ją do kąta. — A teraz muszę cię przecież za twą grzeczność nagrodzić — mruczała stara — tylko poczekaj cierpliwie chwilkę, a ugotuję ci takiej zupki, że ją póki życia popamiętasz.

Tu znowu zaświstała, a na odgłos świstawki zbiegło się mnóstwo morskich świnek ubranych w białe fartuchy, jak kucharze, w ręku zaś miały duże noże kuchenne. Za świnkami przyszło kilkanaście wiewiórek. Te miały na sobie szerokie tureckie szarawary, a na głowie zielone aksamitne czapeczki. Jak zdawało się, spełniały wiewiórki funkcyjne kuchcików, bo z wielką wprawą i szybkością drapały się po ścianach, przynosząc wiedźmie miski, brytwanny, jaja, masło, zioła i mąkę, a ona stała tymcza-

sem przy kominie, mieszała, przyprawiała i widoczne było, że chce ugotować coś bardzo dobrego. Morskie świnki rozpały ogień; wiewiórki uwiły się żywo, a baba ciągle zaglądała do garnka. Wkrótce zupa zaczęła się gotować, i jakaś miła, balsamiczna woń nappełniła powietrze; wtedy stara odstawiła garnek, wylała zupę na srebrną czarę i kazała Jakóbkowi jeść.

— Masz synku, jedz, zjedz tylko tę zupkę, a wszystko mieć będziesz, co tylko ci się u mnie podoba. Nauuczysz się także paradnie gotować, ale ziółka nie znajdziesz nigdy, przenigdy.

Malec niewiele uważał na opowiadanie baby, ale za to zabrał się z wielkim apetytem do jedzenia, bo głód na dobre dokuczał mu zaczął, a zupa była wyborna — takiej nigdy jeszcze nie jadł u matki! Ulatniał się z niej jakiś mocny, korzenny zapach, który go wprost upajać zaczął. Tymczasem morskie świnki zapaliły wonne arabskie kadzidło, i wkrótce pokój cały nappełnił się błękitnemi dymkami. Ale dym ten stawał się coraz gęściejszy, coraz więcej odurzający, a chłopca ogarnęła jakaś niepokonana senność; chciał koniecznie zerwać się, przemódz to senne usposobienie i powrócić do matki, ale na próżno. Wreszcie upadł na sofę i zasnął głęboko. Dziwne miał sny!

Zdawało mu się bowiem, że stara wiedźma zdejmując z niego ubranie, a natomiast pokrywa go futrem wiewiórczem, i w tejże samej chwili umiał jak wiewiórka skakać, drapać się po ścianach. Chodził w towarzystwie innych wiewiórek i morskich świnek, służył tak jak one, a trzeba dodać, że wszystko to byli właśnie ludzie dobrze wychowani, nie zwierzęta.

Najpierw kazano mu tylko czyścić starej obuwie, to jest musiał codziennie smarować oliwą łupiny kokosowe, które nosił zamiast pantofli, i tak długo trzeć, póki nie błyszczały jak zwierciadło. Mniej więcej po upływie roku, tak śniło mu się dalej, wyznaczono mu inne zajęcie. Zbierał wraz z innemi wiewiórkami pyłki z kwiatów, a potem trzeba je było przesiewać przez gęsty włosiany przetak. Z tego delikatnego pyłku kazała sobie stara piec chleb, bo nie mając ani jednego już zęba, nie byłaby mogła ugryźć czegoś grubszego i twardszego.

Znów w rok później umieściła go wiedźma pośród sług, którzy mieli zbierać dla niej wodę do picia. Ale kto z was pomyśli może, że baba kazała wykopać jaką cysternę i do niej wlewać wodę lub też podstawić beczkę, aby woda deszczowa spływała! Gdzie tam! Wiewiórki musiały wraz z Jakóbem zbierać rosę z róż w skorupki laskowych orzechów, a że stara miała ciągle pragnienie — więc była to praca nielada dostarczyć potrzebnej ilości wody.

Znowu po upływie roku przeznaczono go do służby domowej. Miał utrzymywać czysto podłogę, a ponieważ podłoga była szklana, więc każdy, choćby najdrobniejszy pyłek był na niej widoczny, i Jakób musiał dzielnie przyprowadzać ręki, aby zadowolić babę. Dopiero w roku czwartym dostał się nareszcie do kuchni, lecz i tu przechodzić musiał wszystkie stopnie od kuchcika począwszy, a skończywszy na pierwszym pasztetniku.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Ma cztery nogi
I długie rogi,
Dobrze się panu swemu wysługuje,
Bo nieraz ciężko w polu pracuje.

REBUSIK.

Od Złotego Słonka dla Srebrnej Gwiazdki.

sze	sze	sze		do	do	do	do	lepiej
sze	dzie	sze	do	brze	do	mu	do	
sze	sze	sze		do	do	do	do	j

Zadanie-figiel.

Staś dostał kilkanaście wisien i ułożył z nich kwadrat w którego każdej stronie liczył po 5 wisien.

Ile wisien dostał Staś?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38.

Zagadki: Aron — nora.

Łamigłówniki literowej:

Nie wszystko złoto, co się świeci.

Skrzynka do listów.



P. Maryi Bron. w W. Jaka szkoda, że pani zaraz nie napisała do nas o niedojściu „Wieczorów.” W ciągu 2 tygodni wysłałyśmy brakujące numera bezpłatnie. Obecnie za te 8 numerów, które już wysłałyśmy, należy się nam 80 kop.

Dobre rozwiązania zadań, oraz łamigłówniki i szarady własnego układu nadesłali: Bezimiennie (rozw. arytmogryfu z nr. 37), Zuzia K., Michaś i Broniek G., Jesień, Reneta i Rumiane Jabłuszko, Seweryn IV-o klasista, Wesoła Muszka, Józio, Antoś i Ignas B., Pretorya, Tientsin i Rodzeństwo z nad brzegów Dniestru.

Mitusiowi J. z Petersburga.. Ciocia Natalia posyła „Wieczory Rodzinne,” mając nadzieję, że z zajęciem będzie je czytywał sam i swojej siostrzyczce Niuni.

Winną jestem jeszcze podziękowanie: Dzikiej Gemzie za śliczne kartki z widokami Zakopanego, Inżynierowi i Miechowicie za kartki z Ojcowa, które po powrocie znalazłam w Redakcji.

Droga Kazito, list twój ucieszył mnie i zasmucił. Ucieszysz bo dałaś nowy dowód przyjaźni, dzieląc ze mną wrażenia, które wiosna, lato, a wreszcie i jesień napędziły twoje młode serduszek. Ale zasmuciłaś wymówką, że dwa listy pozostawiła bez odpowiedzi. O ile sobie przypominam, otrzymałam tylko jeden i odpisałam nań w skrzynce, drugi nie doszedł mnie wcale, więc musiał chyba na pocztę zaginąć, bez odpowiedzi nie pozostawiam najmniejszej kartki, a cóż dopiero list, od takiej miłej Kazity. Wielką sprawiłaś mi przyjemność przysłaniem fotografii aleja lipowa mniej wyraźna, ale dom tonący wśród kwiatów i zieleni daje doskonałe pojęcie o miejscu twego zamieszkania i ty sama na ganku bardzo podobną jesteś do przysyłanych mi poprzednio fotografii. Patrząc na te klomby bogato umajone różnymi barwnymi kwieciami, nie dziw, że lata żałujesz, ale nie poddawać się zbyt smutkom, bo przecież wiosna powróci, a i jesień ma swój urok...

...Patrz, jak te blade stokrotki,
Dni ostatnich towarzysze wierni,
Wśród żętych dumają ścierni...
Każda z nich, zda się wspomina
Ubiegłe tylko co lato,
I choć już zima
Szronem się żżyma,
Śni sobie wiosnę skrzydlatą...
Nieprawdaż moja jedyna,
Ze jest uroczym i ten smutek cichy,
I ta pociecha,
Co po przez łzy się uśmiecha,
Jak wonne kwiatów kielichy...

Przed kilku dniami miałam wizytę znajomej mi jaskółki, która wieje gniazdko na gziemsiwerendy, pięknej siedziby letniej w S...biu. Na tej werendzie widywała ona często trzech chłopczyków i jedną dziewczynkę. Imion ich dobrze nie pamiętam, zdaje mi się, że zaczynały się od liter K. L. M., a na dziewczynkę wołano Dziba. Dzieci te bywały bardzo grzeczne i wesołe, gdy jednak w niedzielę przywożono pocztę, rzuciły się na szarą kopertę, wysyłaną pod ich adresem z naszej Redakcji i każdy rwał ją sobie. Najstarszy chciał przeczytać „Testament Dziwnaka,” średniego interesowała „Róża bez kolców” trzeci ciekawy był rozwiązaniem, a dziewczynka wrywała dodatk. W poniedziałek, zdarzało się często widzieć moją znajomą, podarte kartki świeżego numeru, a następna pocztą wiozła grzeczny liścik do Redakcji z prośbą o powetowanie straty. Redakcja chętnie spełnia życzenia kochanych czytelników, lecz nie jest w stanie wysłać kilkuset podwójnych numerów rocznie. A reklamacyjne wielkiej liczby sięgają

Jaskółka.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcji „Wieczorów”

Dla dzieci. Wybór pism Władysława Belzy wierszem i prozą z ilustracjami. Cena 1 rub.

Początki języka Polskiego, książka do czytania przez magistr Władysława Nowickiego z 50 drzeworytami. Cena 50 kop.

Wydawnictwa ks. M. Godlewskiego:

Konferencje, wypowiedziane na rekolekcjach dla mężczyzn przez ks. A. Szlagowskiego w r. 1900

Historia modlitwy do Matki Boskiej „O Pani moja” przez ks. Z. Skarzyńskiego

Apologia Chrystyanizmu i sztuki w pow. H. Sienkiewicza „Quo Vadis” przez O. Jana Semerę.